Nr. 10. We Lwowie dnia 10. marca 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Mickiewicz a Słowacki.

Odczyt A. Langego, miany 24. listopada 1900 r. w towarzystwie akademickiem „Ognisko“ w Wiedniu, a powtórzony 22. stycznia 1901 r. w „Czytelni dla kobiet“ w Krakowie.

2)

Romantyzm Mickiewicza jest jeszcze pół klasyczny. Jest w nim olbrzymi krok naprzód w rozwoju poezji, ale niema skoku.

Słowacki to jakby skok. Słowacki już się nie wiąże z XVIII w., ale wychodzi wprost z Mickiewicza, i wydobywa z jego reformy te pierwiastki, których harmonijny duch Mickiewicza nie dotknął lub tylko powierzchownie. Były to, jak sam Słowacki później nazywał: święte z ducha zaprzeczenia.

Mickiewicz jest twierdzeniem; Słowacki — przeczeniem, z pozoru — w istocie i w nim jest twierdzenie; przeczenie rzeczywiste znajdziemy dopiero w Krasińskim.

Krasiński niegdyś pierwszy określił tę różnicę między Mickiewiczem a Słowackim.

Mickiewicz, to synteza ducha polskiego, Słowacki — jego analiza. Mickiewicz wciela plastykę ducha i języka, Słowacki ich muzykę. Nawet koloryt obu jest różny: jeden bardziej realny, bardziej wyrazisty, drugi rozlewny, tęczowy, bezcielesny. Mickiewicz żyje w jasno zakreślonej przestrzeni trójwymiarowej, Słowacki nieraz w czwarty wymiar ulatuje. Dlatego postaci Mickiewicza są jak malowidła Tintoreta, postaci Słowackiego są jak obrazy Fra Angelica, albo jak wizje z piekieł wywołane. Postaci Mickiewicza najbardziej rozwichrzone, są zawsze powiązane w całość harmonijną, bez żadnych sprzeczności, i żyją w otoczeniu ludzkiem w sposób ludzki. Postaci Słowackiego są pozaspołeczne i ponadspołeczne, tragicznie oderwane od życia powszechnego, Króle duchy, Mnichy i Araby, Szczęśni i Kordjany, jak się w matematyce mówi wielkości nieracjonalne. Cele postaci Mickiewiczowskich zamykają się zawsze w granicach możliwości ludzkiej: czy to Gustaw rozpacza, czy Konrad Bogu wygraża, czy Wallenrod knuje straszliwą zemstę przeciw zakonowi, czy Grażyna w męzkie szaty się przebiera, wszystko to są rzeczy proste, jasne, można powiedzieć klasyczne. Dążenia bohaterów Słowackiego są zawsze szalone, nadludzkie, a czasem przeciwludzkie.

Samego siebie wystawił Słowacki w podziemiach reformatów, w postaci Kordjana; stawia on straszliwy plan, nadludzkiego niemal czynu. Ale zamiar ten przeraził najśmielszych spiskowców; głosowanie wykazało tylko pięć gałek za tym czynem... Takie też było stanowisko Słowackiego w społeczności — jego duch analizy, jego tragiczna muzyka, jego przebywanie po za przestrzenią, hyperbolizm jego postaci, ich niespołeczność i irracjonalność, ich nieklasyczność, wszystko to długi czas nie przemawiało do ludzkich serc — i Kordjan tylko pięć głosów miał za sobą.

A cóż jest Kordjan, jeśli nie Konrad w czynie, Konrad spełniający to, o czem bohater Mickiewicza roi w samotni więziennej...

Zestawienie Konrada i Kordjana raz jeszcze nam wykaże różnicę między poetą syntezy, jakim był Mickiewicz, a poetą analizy, jakim był Słowacki.

Mickiewicz pomieszcza swego bohatera w samotności, w której wieszcz jest samowładnym panem bytu, i Konrad tworzy byt — tworzy byt wielki, potężny, o napięciu niesłychanem, czuje się on królem gwiazd i wichrów, mocen jest z Bogiem i szatanem bój toczyć, światy obalać i tworzyć. Ta wieszcza potęga zawiera w sobie trzy pierwiastki, o których mówiliśmy wyżej: żądzę bytu, istnienia; miłość nieskończoną, i geniusz twórczy, harmonijny, pełny żywej energji, zapału i wiary w siebie.

Słowacki wprowadza Kordjana między ludzi; pamiętajmy jednak, że Kordjan nie przybył tu drogą pospolitą, —ze szczytów góry Montblanc chmura go poniosła do Warszawy; jeżeli Konrad rwie się w chmury, Kordjan z chmur zstępuje i oto pomiędzy ludźmi znajduje rozdźwięk — on ich ubiegł o mnogie lata, on jest tem, czem oni będą w przyszłości, ale na dziś dusza jego jest im niepojętą, Tu jeszcze zauważę szczególną sprzeczność

między istotą ducha obu poetów, a ich zachowaniem się względem bohaterów. Ściśle ludzki, społeczny, obywatelski — jeśli tak można się tu wyrazić – Mickiewicz, Konradowi każe dumać i tworzyć w samotności; odosobniony, niespołeczny Słowacki sprowadza Kordjana między ludzi; w Konradzie jest widzenie przyszłości i wymiarkowanie czasu i miejsca, w jakich ta przyszłość się stanie; w Kordjanie jest niecierpliwa żądza potęgi i czynu, wola ogromna, ale której ludzie, jako do miary jej niedorośli, nie umieją docenić i sami jej dzielność brakiem podsycania osłabiają. Konrada uratowała harmonijność duchowa jego twórcy; Słowacki nie miał tej harmonji, co innego nim kierowało. Kordjan upada, ale Kordjan powstanie; Konrad sam mu dopomoże.

Konrad — nie wyraża woli czynu, woli potęgi; Konrad wyraża przedewszystkiem wolę bytu i miłości.

Byłoby oczywiście rzeczą jednostronną ograniczać Mickiewicza do egoizmu trwania; są w nim prorocze wizje ludzkości, są kościoły mistyczne plemion i duchów, są porywy twórcze, w nieskończoność płynące. Sama istota geniuszu twórczego — dręczyła Mickiewicza i rozsnuł o niej myśli różne, np. w Improwizacji, w alegorji Farysa, w wykładach literatury. Rozumiał on, że wylew ducha narodowego, przedewszystkiem objawia się w potędze twórczej, ale pierwszą dla niego i ostateczną rzeczą jest samo życie; jego przeznaczeniem i zadaniem na ziemi było macierzyństwo w stosunku do swego narodu; krzyk woli bytu, jaki on imieniem Polski objawił światu, nie umilknie aż do skończenia historji walk międzyplemiennych i coraz nową podniętę znajdować będzie, zarówno w samym sobie, jak i w księgach Mickiewicza.

Tak mając utorowaną drogę żywota, mógłże Słowacki dalej tę samą pieśń prowadzić? — Nie — dla niego sprawa bytu właściwie była już rozwiązaną. Oto jak pisze przeciw Mochnackiemu, który przyjął dewizę: Być czy nie być! Dewiza ta jest wręcz przeciwną wierze powstającego Polaka, który ma za hasło j e s t e m, b o j e s t e m! jako duch, który czyni się żywym, nieśmiertelnym i od cielesnych potęg niezależnym..

Owszem, sam ten fakt żywota pogrobowego niepokoił Słowackiego, jak to wyraża w sonecie „Córka Cerery“, którą Pluton porwał do piekieł.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świecącą kłosów i promieni,
Kiedyś ty piekłu — jak miesiąc świeciła,
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła – lecz jadła i żyła?

Polska bowiem, jak Persefona, zeszła do piekieł i żyje w piekle, i gdyby nawet z tego piekła wyszła — czy żadne piętno tego pobytu na twarzy jej nie zostanie?

Dlatego autor wołał do tej matki, z której imienia przecież zrobił ogień co pali i piorun co błyska:

Przeklnij! Lecz ciebie przepędzi ma dusza
Jak Eumenida przez wężowe rózgi
Choć muzę moją w twojej krwi zaszargam
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam!...

(C. d. n.).

O Krzyżakach.

Przez

6) **Marję Konopnicką.**

Wiarę tak samo każdy ma w sercu jak miecz ma przy boku; jedno i drugie – w ciągłem użyciu – błyszczy. Nic tu się nie odkłada na chwile solennych uroczystości, i rzadkich występów; wiara tak jest powszednia, jak chleb i jak woda.

I Bóg tych ludzi jakiś bliższy ziemi. A niebo, choć ksiądz Wyszoniek powiada, że wozem do niego nie zajedzie, wydaje się, jak gdyby gdzieś było na przestąpieniu zaraz.

I Bóg i niebo, mają swoje porządki, dobrze wszystkim znane. To jakby Król i dwór i obyczaj też tam jakby królewski i dworski, a nieco dyplomacji zgoła nie zawadzi.

Już to w tej dyplomacji z Bogiem i z niebem, najtęższym politykiem jest Maćko z Bogdańca.

Wie on, że „o lada głupstwo, gdzie i święty poradzić może“, do samego Pana Boga dobijać się nie należy. Dopieroż kiedy z „Gradami“ krucho, rozkłada ręce i mówi:

— „Ha Boska sprawa!“

Albo mówi:

— Kiedyś nas Panie Boże stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj...

„Poprawdzie, nie mała to jest rzecz na cały świat dawać baczenie i o niczem nie przepomnieć — mówi — aleć Boska głowa to nie ludzka!“

I zaraz, wspomniawszy woski i meszne jakie go Krześni szły, a podczas i śluby także swoje dodaje, nie bez otuchy:

— „Człowiek się też przypomina czem może“...

W tych sprawach z niebem i chytrości trochę też nie zawadzi.

— „Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny — mówi Maćko — ale i na moce niebieskie są sposoby, jeno rozum trzeba mieć“.

Wogóle, pewne praktyczne radzenie sobie, pewne orjentowanie się w tych niebieskich sprawach, jest niemal konieczne. Kiedy Maćko ma dar dać, albo ślub uczynić, pilno przegląda w myśli regestr świętych, od czego tam który patronem jest, żeby daru owego, czy ślubu nie zmarnować, a wybierać patronów co zacniejszych, i co potężniejszych. A ma wątpliwość jaką w tem, to księdza się radzi, bo „to ksiądz i na czytaniu się zna, i z Duchem świętym jest w poblizkości“.

A i to dobrze, kiedy do niebieskich pomocy i ziemska otucha przybywa.

Czyni ksiądz Kaleb krzyż nad jadącym samotrzeć do wojsk Witoldowych Zbyszkiem:

— „Pod tym znakiem — mówi — nie dosięże ich zła przygoda“.

A Maćko — ot tak całkiem po Rejowsku:

— Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne. Za to na Litwie, „która jest jako dziecię w lnach białych i świeżo ochrzczone“, — ani śladu tego spoufalenia się z niebieskiemi sprawami. Tym niedawnym czcicielom Perkuna, ten Chrystus, którego „każden wyznawa, choć nie każden umie“ – przedstawia się jakby też w piorunowych błyskach, a uczucie strachu jest tu od uczucia czci nierozjętem jeszcze. Córa Kiejstutowa, Anna Danuta, choć już na Mazowszu, jako księżna siedzi, przekracza progi świątyń z potajemnym lękiem, a i król Jagiełło, na widok wspaniałych obrzędów kościelnych, doznaje uczucia niespokojności, czy też jest dosyć chrześcijańskim królem.

Ale przy tem dobrem imieniu chrześcijańskiego królestwa, cała Polska, jak przy własnej czci stoi. Kiedy Lichtensztejn, po spotkaniu z rycerzami z Bogdańca na tynieckiej drodze, podnosi na uczcie głos skargi i mówi, że „Królestwo powiada się krześcijańskie, ale obyczaje w niem pogańskie“, zrywają się na to „wielmoże groźni, potężni, sławni w bitwach i turniejach, płonąc gniewem, blednąc, zgrzytając zębami i wołając: Gorze!“

Bo dla królestwa tego było „chrześcijaństwo“ ono nietylko dogmatem wiary ale i etyką życia, nietylko legitymacją czci rycerskiej i równouprawnienia z innemi cywilizowanemi królestwy, ale prawem i zakonem obyczaju.

Tak biły te serca ludzkie wtedy, gdy jeszcze nie ze wszystkich wież kościelnych rozlegał się głos dzwonów, a w wielu świątyniach, tak jak w Krześni, odzywały się kołatki tylko.

Taka była ta „dusza powszechna, idąca niestrzymanym pędem do wielkości“, i taki był ten lud, którego król pozdrawiał słowami:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“!

A on królowi odpowiadał:

— „Na wieki wieków“!

Wychowanie narodowe, filaretyzm i messjanizm.

(Trzy odczyty prof. Lutosławskiego).

Nareszcie mieliśmy publicznie okazję przypatrzyć się zbliska i przysłuchać się człowiekowi, który w ostatnich czasach wywołał tyle hałasu i tak silnie zaprzątnął swoją osobą całą polską opinję publiczną. Przyjechał i wobec audytorjum tak licznego, jakiego oddawna nie miał u nas żaden z prelegentów, wygłosił trzy długie odczyty. Zarówno treść ich i forma wygłoszenia, jakoteż i sposób zachowania się prelegenta podczas odczytu dały doskonałą sposobność do skonstatowania, czy ten człowiek w tem wszystkiem jest tylko oryginalnym, czy też przeszedł granice, określone zazwyczaj tym atrybutem i należy już do ludzi, którzy dzięki zboczeniu umysłowemu, stali się do tego stopnia szkodliwymi, lub śmiesznymi na stanowisku profesora uniwersytetu, że ich na niem dłużej pozostawić nie można? Czy to, co z nim zrobił senat *almae matris jagiellonicae*, jest rzeczewiście owocem rozwagi i dbałości o dobro wiedzy, czy też szykaną, jakiej ofiarą padają, niestety często ludzie, przerastający inteligencją swoje najbliższe otoczenie, a niechcący się ugiąć przed jego autorytetem?

Owóż już samym zewnętrznym wyglądem nie daje p. Lutosławski prawa do ujemnych przypuszczeń, jakoby ekscentryczność jego przechodziła granice możliwości. Ubrany był w długi, czarny surdut, zapięty pod szyję, co nadawało mu trochę wygląd księdza. Przyczynia się do wzmożenia tgo podobieństwa także to, że p. Lutosławski nie nosi zarostu. Jego twarz szeroka, wybitnie słowiańska, przypominająca układem ust i oczu, osadzonych głęboko pod nizko zsuniętymi brwiami, podobizny Towiańskiego, bardzo ruchoma i nadająca się do ilustrowania mimiką wykładu, należy do tych, które nazywamy jasnymi, a po których częściej uśmiech się błąka, niż surowość. Uśmiech to często ironji, ale częściej zachwytu człowieka, wpatrzonego w wizje idealne. Do tego dodać należy jeszcze żywą giestykulację, nie mającą w sobie nic teatralnego, przeciwnie, zdradzającą się na każdym kroku swoją mimowolnością i odruchowym charakterem.

Z tego, co p. Lutosławski mówił, można było we wszystkich trzech odczytach wyczuć drganie dwóch strun w jego duszy i umyśle. Jedna z nich ma

charakter poleniczny i bardziej zdradza swoje pochodzenie z osobistych pobudek, wówczas, gdy mówi o wartości dzisiejszych uniwersytetów i o wygłaszaniu nanich nauce, a druga drga nutą ząpału dla własnych narodowo-literackich poglądów. Prof. Lutosławski uważa dzisiejsze uniwersytety za fabryki urzędników, a nie ogniska życia duchowego, czem były jeszcze nie dawno, bo przed trzydziestu laty, kiedy to po wojnie trzydziestoletniej powiadano, że wojnę wygrali Niemcy, nie w polu, lecz od zielonego stolika tzn. wyższością swojej wiedzy fachowej i wykształcenia. Profesor powinien, zdaniem prof. Lutosławskiego, być niezawisłym, jak sędzia. Gdyby nawet nauczał rzeczy złych, to z tego jeszcze wyniknie mniejsze złe, niż, gdy, nauczony doświadczeniem, że można być za swoje przekonania usuniętym z katedry, będzie się w wykładach swoich na to oglądał, żeby nie wejść w kolizję z urzędową opinją i nie będzie szczerym. O kwalifikacji przekonań profesora, nie powinien orzekać nikt, ani senat, ani rząd, ani żaden nawet „fakultet medyczny“. Profesor powinien przedewszystkiem mówić z przekonania. A jakżeż on ma ze skupieniem i wpatrzeniem się we własny ideał wiedzy rozpoczynać wykład, skoro wprzód każą mu czytać katalog, podpisywać indeksy i wykonywać inne tym podobne czynności urzędowe. (masówkę).

Wykład nie jest na to, żeby słuchacz dowiedział się zeń to tylko, co może mieć w książkach. Jemu nie powinno chodzić ani o sztuczki retoryczne, ani o styl, lecz ma za pomocą siły przekonania, opartego na życiowem doświadczeniu, działać na słuchaczy. Ta suggestywna właściwość żywego słowa ma pomagać do odczucia i zrozumienia pierwszorzędnych funkcyj duchowych. Jeżeli wykład tego nie posiada, to dla pojęcia rzeczy drugorzędnych, lepszą jest książka.

O ile przy rozwijaniu tych myśli, posługuje się prof. Lutosławski często ironją, robi co chwila aluzje do własnych losów na uniwersytecie krakowskim i przesyca je pessymizmem, o tyle cechuje go znowu skrajny optymizm wówczas, gdy kreśli ideał uniwersytetów ludowych, w którychby to panowała bezwzględna wolność nauczania i wychowania w duchu narodowym. Uważając je za objaw, nie aspiracji, lecz potrzeby, twierdzi p. Lutosławski, że aczkolwiek na to bardzo dużo potrzeba pieniędzy, to one by się znalazły. Powołuje się przytem na takie przykłady z przeszłości, jak św. Wincentego à Paulo, który 50 miljonów fr. zdołał wydobyć ze społeczeństwa na cele humanitarne. A jeżeli takie fundusze znalazły się na polepszenie bytu materjalnego, to o ile więcej, zdaniem jego, zdobędzie dla siebie kwestja poprawy bytu duchowego?

Do tego dobrobytu duchowego ma prowadzić wychowanie narodowe w duchu filareckim, który zdaniem p. Lutosławskiego jest niczem więcej, jak tylko poczuciem tej prawdy, zrozumiałej dla każdego dziecka nawet, że kto chce reformować drugich, ten przedewszystkiem musi zaczynać od doskonalenia samego siebie. Wśród ludzi, żyjących i pracujących nie dla siebie, lecz dla drugich, rozróżnił więc p. Lutosławski dwa typy: społeczników i filaretów. Pierwsi odrazu, zanim jeszcze mogli wydoskonalić samych siebie, biorą się do działania na masy za pomocą zgromadzeń, broszurek, agitacji i t. p. środków. Drudzy działanie na masy zostawiają Bogu, a sami ograniczają się na doskonaleniu własnych dusz i przenoszeniu zdobytego w młodości stopnia doskonałości duchowej, na ściślejsze koło swego otoczenia, przyczem starają się o wytworzenie między sobą, a tymi, na których działają, jak najściślejszej komitywy duchowej.

P. Lutosławski zastrzegł się, że nie ma na myśli stosunków galicyjskich, których nie zna, lecz rzecz pospolitą ateńską, którą zna, a w której występują już te dwa wieczyste typy, pod postaciami Gorgiasza i Sokratesa. Filaret nie widzi dobrze celu drogi, lecz, zaledwie kilka kroków przed sobą. Posiada jednak w duszy doskonałe poczucie kierunku i tę głęboką wiarę, że wyższa moc, która prowadzi ludzkość do coraz to wyższego stopnia doskonałości, poprowadzi go dobrze, a za nim tych, którzy jeszcze mniej znają drogę od niego.

Kierunek ten zawartym jest w dziełach naszych wieszczów narodowych. Syntezy tego kierunku nie podał p. Lutosławski — stosownie do tego, co powiedział o filaretyzmie nie mógł tego nawet uczynić — ale kładł ciągle nacisk na to, jak on się objawia, czy to w pojmowaniu np. miłości, patrjotyzmu, zdrady, kosmogonji i innych tym podobnych objawów uczucia i myśli, czy też w literackiej formie ich przedstawienia. Kawałkami więc, objaśniając po koleji, odczytywane ustępy z „Genezy“, „Wallenroda“ i „Trzech myśli“ wykazywał, że w dziełach naszych wieszczów narodowych z epoki Towiańskiego, za którego *sui generis* następcę samego siebie uważa, zawartą jest ewangelja, czyli „dobra wieść“ (eu-angelia) całej ludzkości, a naród polski jest messjaszem wśród innych narodów. Ideą, wedle słów „Genezy“ Słowackiego jest to, że „wszystko z ducha jest i dla ducha, a nic dla materjalnego celu“ i z tego powodu wszystko przybiera u nich cechy wyższego rzędu, czy to się tyczy, rozwoju ludzkości, czy też jakiegoś, jednego objawu życia. Dzięki temu Słowacki i Krasiński mówili o pochodzeniu gatunków, wówczas, kiedy się o Darwinizmie nikomu jeszcze nie śniło. Tylko, że Słowacki i Krasiński, którzy formy zewnętrzne uważają jedynie za objawy poszczególnych faz rozwoju duchowego, stoją w swoich wywodach o wiele wyżej, niż Darwin w swojem materjalistycznem pojmowaniu świata. Nie sprzeciwiając się tak nauce, nie neguje także narodowo-polska ewangelja prawd pisma świętego. Jak nowy testament niezaprzecza starego testamentu, lecz jest jego rozwinięciem, tak ewangelja polska, jest, jako trzeci zakon, rozwinięciem, dalszym ciągiem dwóch poprzednich zakonów. Myślą przewodnią jego jest miłość i ofiara i dlatego p. Lutosławski za Krasińskim nazywa go kościołem św. Jana, który nastąpi po kościele św. Piotra i papieży. Z poznania tych prawd, pochodzi „wiara widząca“ naszych wieszczów, która pozwala im rozumieć związek między przeszłością teraźniejszością i przyszłością.

Dzięki tej cesze arcydzieł naszych wieszczów, stoją one, zdaniem p. Lutosławskiego, o całe niebo wyżej, od największych arcydzieł literatury wszechświa-

towej i każdy objaw życiowy, ukazuje się w nich uduchowionym i wyższym. Oprócz przykładu z narodowo-polskiem pojmowaniem pochodzenia gatunków a pojmowaniem Darwina, wskazuje p. Lutosławski, między innymi na porównanie zdrady Wallenroda ze zdradą Wallensteina. Pierwszy to filaret, potężny altruista, a drugi marny egoista. Miłość takiej Gretchen i Fausta, lub Romea i Julji, a miłość Aldony i Wallenroda, to niebo a ziemia. W żadnem z arcydzieł literatury wszechświatowej nie ma czegoś podobnego, jak śmierć miłości do kobiety, na rzecz życia miłości ojczyzny. To jest rys wyłącznie polski, to pragnienie ofiary z samego siebie dla celów wyższych, wobec których śmierć nawet nie jest straszną, jako forma przejściowa — most między życiem niższo a wyższorzędnem. Rodzice, poświęcając dzieci, na śmierć, zamieniają tylko stanowisko ich, jako ludzi na stanowisko aniołów. Tak pojętej teorji kolejnych wcieleń nie ma w żadnej literaturze, a pomimo to, że to wszystko dzieje się w imię Polski i w imię jednego narodu, ewangelja polska ma wartość ogólno ludzką. Bo idea narodowa nie zasadza się tu na takich rzeczach, jak położenie geograficzne, klimat, rasa, lub język, lecz na wspólności ideału.

To też p. Lutosławski jest zdania, że niezrozumienie i niedocenienie arcydzieł naszych wieszczów narodowych, jest tylko kwestją czasu, hamowaną przez takich płytkich krytyków, jak np. Tarnowski, który „Zaczarowane Koło“ uważa za objawienie poetyckie, a o Słowackim mówi, że miewał ,,przebłyski talentu“, lub wbrew opinji takiego Mickiewicza uważa ,,Trzy myśli“ Krasińskiego za utwór zamglony i wypływ panteizmu. P. Lutosławski śmieje się z ignorancji Tarnowskiego, wykazując, że Krasiński, dając messjaniczny pogląd na boskość dusz ludzkich, bynajmniej nie jest panteistą, gdyż nie propaguje w nim zniesienia indywidualności. Co się zaś tyczy zamgloności, to właśnie ,,Trzy myśli“, jako natchniona wizja są tak plastyczne, jak żaden inny utwór Krasińskiego.

To też, chociaż ta najwyższa treść arcydzieł naszych wieszczów jest albo niezrozumianą albo niedość, zrozumianą (np. Wallenroda traktuje się powszechnie ze stanowiska fabuły), albo wreszcie rozumianą fałszywie p. Lutosławski wierzy święcie, że przecież kiedyś, gdyż się je czytać będzie setki razy, podobnie jak pismo święte, to odkryją te dzieła dopiero całą głębię prawd swoich i swego piękna. Jak dzieła, hebrajskich proroków, z którymi nasze mają wiele podobieństwa, będą one czytane po 2 i 6 tysiącach lat. Dzisiaj zaś już mają one taką wartość, że można nie umieć matematyki, zoologji, lingwistyki i innych nauk t. zw. ścisłych i znać tylko dobrze te dzieła, a będzie się już niezmiernie wykształconym i pod względem filozoficznym i etycznym i estetycznym. Ale żeby je tak znać, na to trzeba miłości dla przedmiotu i głębokiej chęci wniknięcia w ich treść najgłębszą. P. Lutosławski w wykładach swoich, zamierzał też dać przykład takiego czytania. Niestety, tłumność audytorjum, niefortunne warunki lokalne i krótkość wykładu, nie pozwalają mu tego tak zrobić, jakby pragnął tzn. przelać siły swojego przekonania na słuchaczy. Prelegent kilkakrotnie wyrażał żal, że dzisiejsza publiczność nie ma tej wytrzymałości, co grecy, którzy potrafili przez cały dzień słuchać nowej tragedji. Sienkiewicz, który ostatecznie zadowalnia tylko codzienne estetyczne potrzeby, ma tak ogromną sławę, a przecież nikt nie ośmieli się nazwać go wyższym, od któregoś z koryfeuszów naszej poezji. Cóż dopiero powinno i musi się stać z nimi, którzy zaspokajają najwyższe potrzeby duchowe. Ale na to potrzeba świętej ciszy, skupienia i chęci poddania się działaniu tej siły duchowej, jaka z nich płynie.

To wszystko mówił p. Lutosławski przy akompanjamencie znacznej, choć dowolnie używanej erudycji i z tak wielkim zapałem, że się on udzielał słuchaczom. To też pomimo, że np. wykład jeden trwał 5 kwadransów, drugi 2, a trzeci przeszło 3 godziny umiał p. Lutosławski zająć swych słuchaczy. Oprócz zapału i mimo niego, nie było w tych wykładach, okrągłości stylistycznej, napuszystości i sztuczności. Przytem obok nadzwyczajnej obfitości, a pomimo koniecznego w takich wypadkach powtarzania się niektórych szczegółów, były w toku opowiadania taki związek i płynność, że nic dziwnego, iż wiele osób wyszło z wykładów z tem przekonaniem, iż teraz dopiero zrozumiały tłómaczone przez prelegenta utwory i że ci poeci rzeczywiście wówczas tak myśleli, jak on ich tłómaczył. Jak więc spełnił obrane sobie zadanie? Naiwnem w pretensjach prelegenta było głównie to, że chciał, aby dziś wszyscy w pracy społecznej stanęli na stanowisku filareckiem, co w naszych warunkach byłoby zgubnem. Ale ponieważ te rzeczy każdy jasny umysł potrafi sobie wyeliminować, więc pozostali poeci i ich dzieła. A tych p. Lutosławski, z wyjątkiem Mickiewicza w „Wallenrodzie“ odczuł, zrozumiał i potrafił wyrazić.

Zapewne, że rozumowanie p. Lutosławskiego nie było ścisłem, że argument często zastępowała inwokacja, lub retoryczne pytanie, a znowu zastępywanie intelektu przekonaniem, lub odwoływanie się do potęg wyższych nie wytrzymują krytyki. Praktycznie, wykłady mogłyby być nawet szkodliwe, jako zachęcające do kwietyzmu społecznego. Ale pomimo to żaden chyba ze słuchaczy nie pogodzi się z myślą, że można było tego niepospolitego prelegenta usunąć z katedry i to tak chyłkiem a boleśnie, jak to uczynił senat akademicki w Krakowie.

To co mówi, z dodatkiem nawet wielu ekscentryczności i buntowania się przeciwko realnym warunkom, nie uprawnia jeszcze do policyjno-lekarskich prześladowań, na jakie wystawionym był p. Lutosławski za swoje przekonania. Schopenhauer, który ma umysł tak jasny, jak mało który z filozofów, pozwalał sobie także na poetyczne koncepcje, np. o ,,metafizyce miłości“ i wszystkie swoje dzieła co kilka wierszy przeplata atakami na oschłą i płytką ,,Kathederfilosofie“, a przecież nikomu nie wpadło na myśl, ścigać go za to policyjnie i upokarzać badaniami psychjatrycznymi. Człowieka, o tak podrażnionem uczuciu i wyobraźni, jak p. Lutosławski można dopiero szykanami zgubić. Wykłady jego, przesiąknięte najuczciwszą intencją, mimo wszystko nie zawierają w sobie, jak widać z tego krótkiego streszczenia nic

niemoralnego, a obfitowały natomiast w mnóstwo spostrzeżeń, zarówno bystrych, jak słusznych i estetycznych. Było ich tak wiele, że za ich cenę można mu darować utopijny charakter jego poglądów, zwłaszcza że sięgają one zbyt daleko poza modne obecnie prądy w dziedzinie filozofji i estetyki, a to mają przed nimi, że przy całej swej jednostronności myślowej, odznaczają się daleko większą szczerością i rzetelnością przekonania.

S. W.

8)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XXI.

Złowroga wiadomość budziła już cały Ujazd w przedświtach wczesnego poranka. Przyniósł ją młody Chod, który stał na straży w polu, od strony miasta, a potwierdził wnet inny posłaniec, z Domażlic przez dobrego sąsiada wysłany. Ten przyleciał z ostrzeżeniem, aby się mieli na baczności, bo wojsko już znajduje się w mieście i ciągnie na nich.

Nikt nie wątpił w prawdziwość doniesienia, a pierwszą myślą każdego było ratować, co się da. Kobiety zwłaszcza, najbardziej przerażone, chwytały prawie nieprzytomnie pościel, zapasy żywności, odzież, stroje, w malowanych skrzyniach przechowywane. Głośne ich narzekania rozlegały się zewsząd i wszędzie: w świetlicach, komorach, na podwórzu i w chlewach, gdzie bydło odwiązywały.

Z płaczem i wołaniem kobiet mieszały się rozkazujące głosy mężczyzn, rżenie koni, ryk krów, skrzypienie wozów, spiesznie na podwórze wyciąganych...

A tam opodal widać już uciekających. Ci, którzy najmniej posiadali, lub silniej byli wstrząśnięci nagłym popłochem, opuszczali wieś z węzełkiem w ręku albo na plecach. Tu pacholik jakiś goni kozy, tam wyrostek ciągnie na postronku z trudnością krowę. Na ugorze bieleją owce; pędzą za spłoszonym baranem i nie zwracając najmniejszej uwagi na klątwy i wrzaski pasterza, znikają mu z przed oczu w tumanach kurzu.

— Ku Hamrom! Do lasu — ku Hamrom!

Oto hasło, które przebiega całą wieś, od chaty do chaty. Nikt nie pyta, kto je rzucił, każdy jest mu posłuszny i pragnąłby co rychlej znaleźć się tam, w dolinie, u stóp Hradku, wśród opiekuńczej gęstwiny lasu, ciągnącego się od samego miasta prawie do Hamr i dalej — olbrzymim łukiem ku granicy, osłaniając drogę do blizkiej Bawarji.

Maciej Przybek zachował najwięcej spokoju, najzimniejszą rozwagę wśród ogólnego popłochu. Na pierwszy okrzyk porwał się ze snu, ubrał w jedno mgnienie oka i wybiegł budzić córkę i czeladź. Maryna w narzuconem na prędce jakiemś odzieniu wychodziła właśnie z komory. Maciej wytłumaczył jej, co znaczy ów hałas i polecił, aby się przygotowała śpiesznie do drogi, aby pamiętała o dziadku i zapasach żywności. Potem pchnął pasterza do Drażenowa z wiadomością, że wojsko idzie i nakazem, aby kobiety i dzieci uciekały co rychlej w lasy, a gazdowie i parobcy spieszyli na pomoc do Ujazdu, lub — gdyby tam dostać się już nie mogli — do Hamr.

Po wydaniu dalszych rozporządzeń czeladzi, wybiegł z dwoma sąsiadami na wzgórze najwyższe od strony miasta dla zbadania okolicy.

Niebo srebrzyło się dopiero świtem i cały kraj spał jeszcze snem cichym.

Poranny wiatr poruszał łanami perlącego się rosą, dojrzewającego zboża i podnosił białe cuhy stojących na straży Chodów. Wojska nigdzie nie było widać.

— Bawią dosiela w mieście, aby się pokrzepić na nas, jak się patrzy, a więc i nam czasu nie zabraknie do przygotowań — mówił Przybek.

A wróciwszy do wsi, chodził od chaty do chaty, wołając na ludzi, aby się tak nie spieszyli, bo wojska jeszcze nie widać.

— Ale wy, chłopcy nie uciekajcie! Za mną! Powstrzymamy wojsko w razie potrzeby, osłonimy ucieczkę naszych, aby ich nie mordowano na drodze, jako owce bezbronne. Wartko, chłopcy, za mną! Pokażmy światu, żeśmy są nieodrodni Chodowie. Imajcież ciupagi, cepy co najmocniejsze, a kto ma — i strzelby. Hybajcie, chłopcy, a wartko!

Tak wołał Maciej Przybek głosem ogromnym. Twarz jego, chmurna zwykle i poważna, ożywiła się teraz, płonęła odwagą i zapałem. Oczy sypały iskry. Ruchy nabrały młodzieńczej żywości i gibkości. Głos donośny, jako grzmot, pokrywał ogólną wrzawę, słychać więc było wyraźnie jego nawoływania:

— Wartko, chłopcy! Za mną! Chytajcie cepy, flinty! Wartko, Chodowacy!

Przed jednem tylko obejściem nie przystanął, — przed obejściem Koziny. Wiedział, że tam niema na kogo wołać...

Jakoż rzeczywiście młody parobek Kozinów rady dać sobie nie mógł, zwłaszcza, że gospodyni wprost głowę traciła z przerażenia. Nie

o siebie trwożyła się, nie o dobytek i chatę, ale o dzieci. Gdy przed chwilą zerwał się był ów groźny krzyk, rzuciła się najpierw ku dzieciom. Porwawszy w ramiona Hanulkę i ciągnąc za sobą Pawełka, leciała bez pamięci przed siebie. Ale matka Jana zatrzymała ją w podwórzu. Stara Chodka uniosła się nawet na synowę za tak wielką małoduszność i kazała inaczej przysposobić się do ucieczki. Blada, drżąca Hanka usłuchała rozkazu matki, ale dzieci nie spuszczała ani na chwilę z oczu.

Matka wydawała teraz rozkazy i o wszystko się troszczyła, o wszystkiem pamiętała, trapiąc się jedynie, że dla braku pomocy, nie będzie mogła ocalić zbyt wiele z zagrożonego mienia. Wtem na podwórzu ukazał się Iskra Rzehurzk, dźwigając dwa wielkie węzły na plecach i poganiając dwie kozy. W ślad za nim postępowała z niemowlęciem na ręku Dorla, wiodąc ślepego ojca, który nie miał serca rozstać się z kobzą i niósł ją, przewieszoną przez ramię.

— Przychodzimy dospomódz! — wołał Iskra. Dyć same jesteście, nieboraczki! Poczkajcie! Nie trap się nic a nic, gazdzinko. Dy jeszcze czas!...

I mówiąc to, złożył swój ciężar na ziemi i jął żwawo zaprzęgać do wozu, który parobek był już wyciągnął na podwórze.

Hanka uradowała się niezmiernie i głośno wyrażała wdzięczność niespodzianym pomocnikom. Energiczna ręka Iskry dała się wnet uczuć we wszystkiem. Wóz wyładowano najpotrzebniejszemi rzeczami: pościelą, zapasami żywności, odzieżą, zaczem usadowiono na nim ślepego ojca Iskry, Dorlę z niemowlęciem, a także małą Hanusię i Pawełka. Hanka pozostała przy dwóch krowach, uwiązanych u wozu. Resztę statku wzięli pod swoją opiekę Iskra, stara matka i służąca.

Wóz wytoczył się zwolna z podwórza. Za nim przy krowach, postępowała Hanka, wiodąc kozy Iskry. O parę kroków dalej kobziarz przy pomocy kobiet prowadził woły, ryczące w odpowiedzi na żałośny bek puszczonych wolno owiec, których nie można było zabrać, a które zdawały się przeczuwać, że pierwsze padną ofiarą grabiezkich instynktów wojska. Obok wozu kroczył stary Wilk i podnosząc co chwila łeb ku dzieciom, podskakiwał z głośnem szczekaniem, chcąc do nich się dostać.

Ścisk, panujący na ulicach, nie pozwalał na szybką jazdę. To też i wóz Kozinów posuwał się wolno, nim dotarł do placu. Tu było przestronniej, ale wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż zwykle. Zdawało się, że wróciły dawne rycerskie czasy. Na pierwszym planie stoją w licznym orszaku górale, starsi i młodsi. A każdy uzbrojony, — jedni mają cepy i ciupagi w ręku, wielu innych krótkie lub długie strzelby. Dwaj pilnują na uboczu burgrabiego. Przyprowadzono go tutaj na rozkaz Przybka, ze skrępowanemi rękami, aby zabrać do lasu, jako zakładnika. Pański oficjalista, blady jak płótno, drży ze strachu przed burzącymi się góralami.

— Dyć to wszystko przez ciebie! — wołają na niego.

— Niech nam żołnierze ino garść słomy kany zapalą, a będziesz wisiał, jako i te szyszki na jedli! — grożą inni.

Wtem zerwały się krzyki radośne.... To uzbrojeni Chodowie witali swego wodza, Macieja Przybka, który uchylił się był na chwilę do domu, a teraz wracał. Owacyjne głosy odnosiły się jednak nietyle do samego Macieja, ile do drzewca dawnej chorągwi chodzkiej, którą ów trzymał w ręku. Po zabraniu drogiej pamiątki z kancelarji zamkowej w straszny dzień, w którym Lamminger spalił był dokumenty, Maciej przechowywał ją troskliwie u siebie, a teraz, w stanowczej chwili, ukazywał oczom ludzkim. Niósł jednak nie samo drzewce nagie, lecz całą chorągiew. Była to płachta śnieżno-biała, przymocowana do żerdzi dwoma czarnemi wstęgami. Chorągiew o barwach chodzkich, ale prosta, skromna, bez godła — pomimo to jednak Chodowie witali ją okrzykiem tryumfu, jako znak dawnej mocy, minionej sławy. Wszystkie też spojrzenia tkwiły z zachwytem w olbrzymiej postaci ostatniego chorążego, który zbliżał się z rozwiniętym, wesoło furgającym w powietrzu sztandarem.

Wóz Kozinów mijał go właśnie, gdy Maciej wręczył chorągiew jednemu z junaków do potrzymania, a sam wydawał rozkazy. Burgrabiego kazał prowadzić w kierunku, w którym szli wszyscy, — zwinnego jakiegoś chłopaka wysłał powtórnie ze zleceniami do Drażenowa, kilku innych do miasta i Hawłowic, — sam zaś pozostał zresztą na placu, aby czuwać nad uciekającymi, utrzymywać wśród nich ład i porządek, dopomagać, uspakajać, ducha, dodawać. Mówił, doradzał, rozkazywał, w razie potrzeby nawet gromił. Stara dębowa ciupaga, od niepamiętnych lat pozostająca w rodzie Przybków, błyskała mu w silnej prawicy, gdy nią wymachiwał lub wskazywał. I cały tłum spełniał jego rozkazy, — wszyscy słuchali go od pierwszego słowa, jak gdyby był wodzem, z woli ludu obranym. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Chimera. Pismo poświęcone literaturze i sztuce, zeszyt pierwszy, Warszawa, styczeń 1901.

Najgłośniejszem zdarzeniem ostatnich kilku tygodni w dziedzinie literacko-artystycznych wydawnictw było niewątpliwie pojawienie się w Warszawie pierwszego zeszytu tego miesięcznika. Zawdzięcza to „Chimera“ głównie dawnym zapowiedziom swoich narodzin i temu, że właściwie będzie lepszym i wspanialszym dalszym ciągiem „Życia“ krakowskiego, do którego znajdą także przystęp rozbitkowie nieudałego „Strumienia“ warszawskiego.

Owóż, o ile rozłożona przed nami teraz rzeczywistość w formie tomu o stu kilkudziesięciu kartkach małej ćwiartki, odpowiada nadziejom, pod względem swojej wewnętrznej wartości, to po pierwszym zeszycie trudno jeszcze rozstrzygnąć. Na ogół można stwierdzić, że zeszyt jest dość obfity i urozmaicony, że na pierwszy rzut oka widać, że „Chimeryści" noszą wysoko sztandar z hasłem: „sztuka dla sztuki" i że w swoim zakresie podobnie, jak „Życie" są jeszcze „literackim kościołem wojującym".

Pewien wyjątek z reguły, objętej tymi cechami, stanowi utwór zmarłego świeżo poety czeskiego Juljusza Zeyera „Na Synaj". Jest to poemat biblijno-metafizyczny, dający z wyrafinowanym spokojem, filozoficzny pogląd poety na świat i jego stosunek do Stworzyciela a przyczepiony do biblijnego wypadku nadania tablic na górze Synaj i wysnuty niby z duszy Mojżesza, strwożonego zadaniem określenia ludowi Jehowy. Poemat jest doskonale tłómaczony przez osobistego przyjaciela poety, p. Mirjama,

Następuje po tem rozprawka pt. „Los Geniuszów", w której p. Mirjam, powołując się może zbyt często na świadectwo Norwida, jako jednego z zapomnianych, a niedawno odszukanych ojców nowego kierunku, stara się wykazać, że popularność poety stoi w odwrotnym stosunku do jego wartości, i że dzięki temu, głos wielu większych pisarzy, przygłuszony został harmiderem sławy, jaka rozlegała się dookoła ludzi i dzieł mniejszej wartości, ale przystępniejszych, bo bardziej zbliżonych do poziomu. Ani rozumowanie, ani cytowane przykłady nie bardzo są w stanie przekonać a tym ostatnim możnaby przeciwstawiać akurat tyle innych. Ale jest w tem chęć dobra, podobnie, jak i w noweli Norwida „Ad Leones". Autor, w sposób groteskowy trochę, a trochę naiwny, ironizuje, walkę ducha z więzami cielesnymi i kapitulację jego przedstawiając, jak rzeźbiarz scenę rzucenia chrześcijan lwom na pożarcie, pod naporem stosunków, przemienia powoli na grupę, wyobrażającą kapitalizację. Nowela, pisana archaicznie pokręconym stylem, nie tyle przekonuje, ile bawi, jako egzemplum, kogo to sobie nasi najmłodsi mianują zwiastunem ich ideji w dawniejszej literaturze i jak wygląda jeden z takich zapoznanych genjuszów.

Poezję reprezentują Kasprowicz, ze znaną już z wyjątków „Pieśnią Wieczorną", utworem, należącym do najbardziej szczerych, jakie ten poeta napisał, dobre tłómaczenia Porębowicza z poezji duńsko-norweskiej, zajmujące dla swego egzotycznego charakteru, a wreszcie garść sonetów pp. Lemańskiego, Ruffera, Staffa i Zawistowskiej i dwa wiersze „Las" i „Jesienią" p. Zbierzchowskiego. Wiersze te ani pod względem formy, ani treści nie przedstwiają nic nowego. W stosunku do tych wszystkich wylewów lirycznych, jakich kilka tomików pojawiło się w czasach ostatnich, nie są one ani lepsze od nich, ani gorsze. Wszystkie chcą wywołać nastrój. Tylko np. p. Staff jest prostszy w obrazowaniu słowami, p. Lemański bardziej poplątany, sztuczny i neologizmowy, p. Zawistowska chce być patetyczną, p. Ruffer ironicznym, a p. Zbierzchowski znowu dba bardziej o muzykę wysłowienia. Poza tem jednak tematowo i formalnie tak mało przynoszą czegoś odrębnego, tak wszystkie nie pozwalają kontrolować swojej indywidualnej szczerości, że nie zdziwiłoby nikogo, gdyby np. wszystkie razem znalazły się w *jednym* zbiorku, któregoś ze wspomnianych ich autorów. Każdy z nich z osobna mógłby być ojcem duchowym wszystkich tych wierszy — tak przynajmniej wydać się musi każdemu, kto nie ma żadnych innych danych, co do któregokolwiek z tych młodych poetów.

O dwóch większych utworach, zawartych w pierwszym zeszycie „Chimery", t. j. o Przybyszewskiego „Synach ziemi" i hr. de Viliers de l' Isle'a „Akselu", sądu na razie wydawać nie można, jako iż są to dopiero początki tych utworów. Co do Przybyszewskiego tylko to da się stwierdzić, że i w tym utworze nie wyszedł wprawdzie poza sferę seksualnych perepetji, w środkach przedstawienia jednak posługuje się więcej obserwacją rzeczywistości, dzięki czemu wypadki i charaktery są rysowane brutalniej, ale zrozumialej, a cały utwór nabiera plastyki i mniej budzi podejrzeń co do psychologicznej samowoli p. Przybyszewskiego, niż to się działo z poprzednimi jego utworami.

Najsłabszą stroną „Chimery", jej piętą achillesową, jest część polemiczno-krytyczna. Pomijam już rymowany wyprysk złego, czy dobrego humoru p. Lemańskiego przeciwko ruchowi etycznemu, jako sztucznej formie stwarzania moralności publicznej. Przedstawiając go jako zgromadzenie świń, nie potrafił autor satyry być dowcipnym i jest tylko niezgrabnie ordynarnym, przyczem puszcza się dla efektu na tak odległe aluzje, że aż staje się niezrozumiałym. W prozie tej części usiłuje „Chimera" bronić swoich elukubracyj z prospektu i popełnia przytem te same błędy. tj. wymachuje słowami i rozrzuca się w chaotycznych obiecankach, lub mówieniu rzeczy, rozumiejących się samych przez się, a wydymanych do rozmiarów odkrycia Ameryki. Reszta tej części albo czepia się drobnych rzeczy, jak sprawa Fałata i Kossaka i jakiś protest konkursowy, albo w niewyczerpujący i niejasny sposób charakteryzuje zbiorki poezji. Najlepiej stosunkowo przedstawia się jeszcze krytyka dzieł sztuki, w której „Kilka słów o krytyce" przedstawia pewien kapitał myślenia nad przedmiotem i daje do myślenia czytelnikowi.

Co do artystycznego wyekwipowania „Chimery", to w stosunku do zapowiedzi i ceny zeszytu nie dorasta ono oczekiwaniom. Druk i papier rzeczywiście są ładne, ale co jest poza tem? Heliograwura z „Chimery" Moreau, za którą płaci się rubla osobno, jest sobie zwyczajną reprodukcją, dość akademicko traktowanego obrazu, a ornamenty tekstowe, z wyjątkiem kilku inicjałów, podrabianych ze starych manuskryptów i kilku ładnych listewek, jak starzec patrzący w gwiazdy, orzeł i trzy spiewające panny, oraz nieźle pomyślane winiety, nie budzą interesu, zwłaszcza, że się powtarzają zbyt często. To chyba za mało na wytworne pismo ilustrowane.

S. W.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Lwów ul. Kopernika 5.